

Agnieszka Tarnowska: Już nie zachwycacie. O książce „Mity w naszym życiu” Mary Midgley

Zacznę od wyznania obnażającego. Ta książka mnie przerosła, zresztą nie pierwszy raz przerosła mnie książka naukowa. Chodzi jednak o złudzenie percepcyjne, któremu uległam w momencie sięgnięcia po nią w krakowskiej Głównej Księgarni Naukowej po raz pierwszy. Dzieła ukazujące się w serii „Biblioteka Myśli Współczesnej” PIW mają tam swoje specjalne miejsce na ekspozycji filozoficznej.

Kto był i zapuścił się w końcową alejkę, ten wie, a kto nie był, niech przyjdzie. Wtedy na wystawie byli więc Bruno Bettelheim, Iris Murdoch, ks. Marek Dobrzeński i Theodor Adorno, ale moje ręce powędrowały do Mary Midgley i jej rozważań na temat mitów w naszym życiu. Przypadek, a może i nie przypadek sprawił, że otwarłam książkę na podrozdziale „Czy mózg ma płęć?”, co bardzo mnie zaciekało biorąc pod uwagę, że temat zdolności poznawczych, które warunkuje płęć, kontekst genetyczny i warunki środowiskowe, w których wzrasta człowiek jest wciąż szeroko omawiany, a na rynku wydawniczym nie brakuje publikacji podejmujących ten wątek, po które sięgam, by wskazać na Doreen Kimurę i jej „Płęć i poznanie”, tekst Iris Marion Young „Rzucasz jak dziewczyna”, „Pochodzenie kobiety” Elaine Morgan, „Wybrakowane. Jak leczono kobiety w świecie stworzonym przez mężczyzn” Elinor Cleghorn czy rozmaite książki ukazujące się w tej krakowskiej kuźni naturalizmu, jak „Świat emocji” Batji Mesquity, „Błąd Kartezjusza” Antonio Damasio czy „Religijnych” Robina Dunbara.

Zaczął się więc niewinnie, od jednego mitu wyrokującego o wyższości mężczyzn nad kobietami, dość łatwego, przyznajmy, do zdekonstruowania i strącenia z piedestału, nawet już pod wieczór, gdy umysł zmęczony, a księgarnia lekko zatłoczona. Lecz Midgley podejmuje tych mitów więcej, a konkretnie trzy: mit umowy społecznej, mit wszechogarniającej nauki oraz mit postępu. I tu zaczęły się schody i wspomniane powyżej złudzenie percepcyjne, złudzenie łatwości tematów podejmowanych w książce, którego nie przemogła nawet cisza biblioteki, gdy wróciłam do tej książki po pewnym czasie i zagłębiłam się w powabny urok redukcjonizmu i atomizmu wpływające na mit wszechogarniającej nauki, a w konsekwencji na nasze codzienne życie. Problem musiał być więc we mnie, a konkretnie w niedomaganiach mojego intelektu, a nie w okolicznościach zewnętrznych. Wszak, tej baletnicy to i rąbek u spódnicy... Szerokość oglądu rzeczywistości reprezentowana przez Autorkę, piszę bowiem o filozofce wykształconej w Oksfordzie, która swoją pierwszą książkę napisała w wieku sześćdziesięciu trzech lat (jak sama o sobie napisała, „wcześniej bowiem nie wiedziałam, co myślę”) daje o sobie znać i momentami przytłacza, przynajmniej mnie, piszącą te słowa dwudziestosiedmiolatkę. Przytłacza do tego stopnia, że książkę potrzebowałam przeczytać dwa razy i obudować ją dodatkowymi kontekstami literackimi, by wnikać w najgłębsze zakamarki współczesnej filozofii anglosaskiej.

Ze mną nikt się na to nie umawiał. Czyli o micie umowy społecznej

Pierwszym z omawianych na kartach książki mitem jest *mit umowy społecznej*. Temat bardzo nośny i aktualny, gdyż pragnienie zakwestionowania obecnego społecznego porządku pojawia się tu i ówdzie w książkach dostępnych obecnie na rynku. Mam na myśli choćby wywiad-rzekę, bardzo ciekawą rozmowę między Greggiem D. Caruso a Danielem C. Dennetem, która dotyczy w swym zasadniczym rdzeniu wolnej woli, pytania o jej warunki możliwości i realizm. Panowie spierają się o to bardzo zajadle (a ja bardzo zachęcam do lektury tej książki) wykładając perspektywy kompatybilizmu i inkompatybilizmu, ale w tle tego sporu pojawia się właśnie swoiste pragnienie napisania umowy społecznej dla Stanów Zjednoczonych na nowo, niewykluczone, że umowy społecznej, która kwestionuje pogląd, że ludzie są obdarzeni wolną wolą i w związku z tym próbuje na poważnie podjąć temat więziennictwa, pozbawiania ludzi wolności i reformy systemu karnego, których istnienie w obecnym kształcie ma sens tylko wtedy, gdy założymy, że ludzie ową wolną wolę posiadają, a za swe czyny, złe lub dobre (lub tylko tak nazwane na użytek trwania w społecznych konwencjach), odpowiadają i mogą ponosić konsekwencje za zło w postaci ograniczenia wolności.

Sam problem umowy społecznej wydaje się jednak wykraczać poza problem wolności woli i dotyczyć także tego, co nazwalibyśmy poczuciem podmiotowości i bycia poważnie traktowaną członkinią wspólnoty politycznej. Można więc stwierdzić, że obnażenie mitu umowy społecznej to nowa wersja stwierdzenia, wypowiedzanego szczególnie przez najmniej uprzywilejowanych, a więc także najuboższych stwierdzenia: „No taxation without representation”. W tym kontekście Midgley odwołuje się także do problemu uniwersalnych praw człowieka (ale również praw zwierząt), które nie odnoszą się w równym stopniu do każdego człowieka, a jedynie do tego, który

przynależy i coś znaczy. Także kinematografia zaprasza nas do refleksji nad tym zagadnieniem, w odniesieniu do imigrantów, bezsprzecznie wyeksploatowanej do granic możliwości siły roboczej niosącej na swoich barkach niedoceniany ciężar budowy państwa, będzie to film „The Brutalist”, którego przedpremierowy seans można było już zobaczyć, a polska premiera będzie miała miejsce pod koniec stycznia, a w odniesieniu do literatury esej Achille Mbembe pod podobnym tytułem „Brutalizm” czy „Technofeudalizm: co zabiło kapitalizm” Janisa Warufakisa. Problemem źródłowym, którego przebłyski mającą na horyzoncie wydaje mi się być, posługując się językiem Ericha Fromma, abstraktyfikacja, czyli oderwanie od rzeczywistości. Ma to związek z pozytywnym, unaukowanym stadium w rozwoju świata, trzecim etapem na drodze postępu, o którym pisał August Comte. Do tego zagadnienia teraz przejdziemy.

„Gdzie ten, który powie mi”. Czyli o tym dlaczego kobieta potrzebuje mężczyzny do podejmowania decyzji jak tlen do oddychania i o tym jak się to ma do mitu czystej racjonalności, która jest przeżytkiem

Właśnie od tego fragmentu książki zaczęło się pragnienie napisania recenzji książki Mary Midgley. Najpierw rzut okiem na podrozdział „Czy mózg ma płeć?”, a następnie na fragment z „Emila” Jeana Jacques’a Rousseau o potrzebie socjalizacji kobiet do posłuszeństwa, uległości i służebności, gdyż tylko mężczyźni zasługują na pełnię swobody w nauce i rozwijaniu swojego potencjału, zaś dla kobiet głos ojca, męża lub księdza jawi się jako ostateczny głos autorytetu Boga. Sama kobieta, no cóż, jak poucza Rousseau, niewiele zdołała. Wybrakowany umysł, słabe ciało, drugorzędność, sami rozumiecie. Z czym do kogo. Odkąd, *nomen omen*, zapragnęłam wypłynąć na szerokie

wody filozoficznej refleksji po lekturze „Stresu i wolności” Petera Sloterdijka, a w szczególności fragmentów o dryfowaniu Jana Jakuba na jeziorze Bielersee w pobliżu Genewy i autentycznie polubiłam tego filozofa, tak tutaj pomyślałam: „oj, nagrabiłeś sobie chłopie”. Żeby nie pozostać gołosłowną, przytoczę tu ten kwiat, esencję francuskiej myśli filozoficznej drugiej połowy osiemnastego wieku. Z trudem przychodzi mi ten wysiłek, mogłabym to oddelegować sztucznej inteligencji, ale w porządku. Pisał: „Dziewczęta powinny się przyzwyczaić do uległości, już przez to samo, że każdy krok i całe życie kobiety podlega nieubłaganej cenzurze, a wierzenia jej opierają się o autorytet, musi kobieta przyjąć decyzję ojca lub męża, jako orzeczenie kościoła”. No, nie za mądrze Janie Jakubie, ale cóż. Chyba zatem trzeba będzie mi to wziąć pod uwagę i następnym razem zastanawiając się czy zamówić latte pistacjowe czy piernikowe, zadzwonię do taty. Wracając jednak do rozdziału książki Midgley, warte odnotowania są refleksje dotyczące „Samolubnego genu” Richarda Dawkinsa, naturalnej skłonności ludzkiej do egoizmu i potrzeby wychowywania do hojności i altruizmu, teoria memów, bardzo krzywdząca i rozszczepiająca w odniesieniu do kultury, a także bardzo ciekawy, nieco z przekąsem podjęty wątek epifenomenalizmu i skinneryzmu (Skoro B.F. Skinner i T. Huxley byli tak przekonani o wyjątkowości i ostateczności ludzkich ciał, był to pogląd związany z tzw. redukcjonizmem materialistycznym, to skąd w takim razie tak wspaniałe myśli i książki wyszły spod ich piór, zastanawia się Midgley).

Do środowego wieczora nie podejrzewałam, że za kontekst w refleksji nad wszechogarniającą perspektywą naukową, jej roszczeniami do rozkładania otaczającej rzeczywistości na czynniki pierwsze niczym w wyobrażeniu świata jako laboratorium, którego głównym narzędziem sprawującym władzę jest mikroskop, posłuży mi tekst kultury w postaci zekranizowanej bajki, ale tak właśnie się stanie. Skoro Midgley

dekonstruuje mity, to bajka wydaje się być jak najbardziej na miejscu. A mowa o „Akademii Pana Kleksa i wynalazku Filipa Golarza”, polskim filmie w reżyserii Macieja Kawulskiego. Kto widział, ten wie, a kto nie widział, zostanie właśnie skrzywdzony zaspoilerowaniem treści filmu, która to czynność jest jednak nieodzowna, bym wytłumaczyła pewną trudność na jaką napotyka perspektywa naukowa i stereotypowo maskulinistyczno-patriarchalny ogląd rzeczywistości zaprzęgnięty w projekt zmiany świata pod nazwą „sztuczna inteligencja”. Tytułowy Filip Golarz, niegdysiejszy pracownik magicznej Akademii, zostaje odrzucony przez Annę. Wówczas w przyprószonym już siwizną mężczyźnie uruchamiają się pokłady afektu, reakcji emocjonalnej, o którą, no cóż, nie podejrzewalibyśmy mężczyzny, co najwyżej kobietę, taką na ten przykład, piszącą te słowa młodą blondynkę w infantylnej do cna różowej bluzie. Mówię bowiem o tak płytkich, prymitywnych i żałosnych wręcz reakcjach emocjonalnych jak: zazdrość, gniew, pragnienie zemsty, resentyment i tak, tak, ten święty Graal każdego mężczyzny, którym obkleja kobietę, niczym słup reklamowy, a mianowicie: frustracja. O ,jak to się wspaniale przykleja, jak to pasuje do baby, jaka to jest świetna teoria wyjściowa do wszystkiego. Kochani, mam smutną wiadomość, to jednak wzbiera nie w kobiecie, a w mężczyźnie. Tak, dobrze napisałam. I co z tym ładunkiem emocjonalnym ów mężczyzna robi? Nie uwierzycie, trzymajcie się krzesel albo co tam macie akurat pod ręką: czyni go motorem napędowym, motywacją zaangażowania z jakim pracuje nad aplikacją, chatbotem, oplątanym (aż by się chciało napisać opętanym) siecią neuronową robotem, swoją, jak pieszczotliwie ją nazywa, córeczką. Nie wiem jak Wy, ale ja nigdy bym na to sama nie wpadła. Serio. Wprost ani razu nie przeszło mi przez myśl, a jak już przeszło, to natychmiast klasyfikowałam to jako myślozbrodnię, że coś takiego jak afekt (resentyment czy odrzucenie) mogłoby oddziaływać, bo ja wiem, na umysł pracującego profesora uniwersyteckiego albo co lepsze (a może i gorsze?) księdza, a w konsekwencji ich sposób rozumowania, bycia w

świecie, wybór preferencyjnej teorii i podawane innym prawdy do wierzenia, niewykluczone, że także skłonność do manipulowania faktami. To jest jak mówiła moja nauczycielka języka rosyjskiego w liceum, sytuacja „не может быть!”, a pewien słynny rabin skwitowałby to pewnie jeszcze bardziej dosadnie, „To niedobra jest, lepiej jest nie mówić o tym”. W filmie otrzymujemy również przegląd sylwetek bohaterów i bohaterów młodego pokolenia, wśród nich na pierwszy plan wysuwają się Ada Niezgódka i Albert, twór wyobraźni (tak, tak zmaterializowany twór wyobraźni, bajkowy więc element w skrajnie unaukowanej rzeczywistości, co pokazuje jak te dwie sfery się przenikają, a także, że nauka jest mitem) Golarza, a w relacji tej dwójki aż iskrzy napięcie na linii rozum-emocje, człowieczeństwo-automatyzm, miłość-zaślepienie z nienawiści (czyli jednak roboty mogłyby popełnić zbrodnię w afekcie?). Słowem, warto ten film zobaczyć.

PS. Myślę, że reżyser powinien przeprosić za te pozbawione skrupułów względem afektów u mężczyzn wątki. Ja chyba też.

Gdy pewnego sobotniego późnego popołudnia siedziałam w kawiarni i wpatrywałam się tępo w odbijającą się w oknie moją twarz kontemplując przy tym sylwetki przechodniów przechadzających się wzdłuż ulicy Basztowej, wsłuchiwałam się w końcówkę podcastu „Prawo do niuansu” (drugiego obok „Kultury Poświęconej” powodu, dla którego jestem obecnie skłonna otworzyć laptopa) Jarosława Kuisza na portalu Kultury Liberalnej, do którego zaprosił Tomasz Stawiszyński i Tomasz Terlikowski. Rozmowa dotyczyła książki

Johna Greya „Nowe lewiatany” i refleksji nad relacją państwa i religii, po części także „obsługiwania potrzeby sensu” przez współczesne, opiekuńcze (z akcentem na totalitarne w swych zakusach) państwa, które chętnie wikłają się w rozmaite nowe *quasi*-religie. Finiszując, autor „Powrotu fatum” stwierdził, że tym czego pilnie potrzebujemy jest nowy mit. Na tę chwilę nałożył mi się przywołany w pamięci moment z minionego roku, dotyczący pochłanianych łączywie w czytelni biblioteki pewnej styczniowej niedzieli, książek Richarda Rorty’ego, z których wiedzy potrzebowałam do egzaminu z filozofii pragmatyzmu. W interesujących rozważaniach na temat wspólnoty i solidarności Rorty przywołał figurę postmodernistycznej ironistki oraz myśl Donalda Davidsona, filozofa języka i jego koncepcję „my-intencji”. Tuż po zakończeniu lektur poszłam na mszę do pobliskiej Kolegiaty św. Anny, *nomen omen* liturgię dedykowaną dla pracowników naukowych, przede wszystkim dlatego, że samo to miejsce uważam za ważny i potrzebny punkt przecięcia szlaków nauki i wiary w dzisiejszym świecie, przy niechęci do wszelkiego dogmatyzmu i ograniczania wolności w myśleniu. Wszystkie te wątki, które tu opisuję składają się na to, czym pragnę zakończyć. Wspólnota, mit, my-intencja, solidarność, chrześcijaństwo, zgłiszcza społecznych więzi przeoranych przez absolutyzm naukowego roszczenia do opisu świata, chaos, poczucie psychicznego poniżenia i zdeptania w konkurencyjnym wyścigu po skinnerowsku uwarunkowanych szczurów (albo gołębi, jak ktoś woli, ewentualnie jest z Krakowa). Te słowa klucze, powyższe zaproszenie do mojego doświadczenia i wspomnień z minionego roku, to mój skromny wkład w refleksję nad tym, czym ów nowy mit mógłby być. Mit autentycznie wzajemnego uznania, uznania niepopartego lawiną hiper-super-flower-power osiągnięć w kategoriach postpurytańskiego społeczeństwa, lecz uznania wynikającego z odzyskanego człowieczeństwa, z udziału i życia we wspólnym świecie. Uznania ludzi wolnych, ludzi mających serca z ciała (Ez 36,26-27), nie

zaś zdeterminowanych maszyn, które nic już nie widzą i nic nie słyszą (Mt 13,15). Są doprawdy perfekcyjne i doskonałe. Tak perfekcyjne i doskonałe, że aż martwe.

Agnieszka Tarnowska